XXX MIĘDZYNARODOWY KONGRES EUCHARYSTYCZNY.

Międzynarodowe Kongresy Eucharystyczne odbywają się co dwa lata nietylko w coraz to innym kraju, ale i w coraz to innej części świata, a każdy z nich ma swój odrębny, sobie właściwy charakter. Dwa ostatnie odbywały się jeden w Chicago, drugi w Sydney w Australji; imponowały przedewszystkiem olbrzymiemi ilościami pielgrzymów, wspaniałością i przepychem współczesnego zewnętrznego otoczenia, świetnością nowoczesnych urządzeń, a odbywały się w żywych i w pełni rozwoju będących centrach życia chrześcijańskiego.

W Kartaginie było zupełnie inaczej. Tam Kościół powszechny zebrał się wśród ruin, spoglądał na to, co stracił na kontynencie Afryki z świetnych zdobyczy minionych wieków, odbywał się niejako wśród umarłych. Był spojrzeniem wstecz na wspaniałość przeszłości, ale zarazem wyrazem niepohamowanej konieczności i potrzeby rozwoju Kościoła w tej właśnie części świata, potrzeby nawiązania nici tradycji przerwanej od dziesięciu wieków, którą obecnie tak ofiarnie podtrzymują legjony misyjne tych nowych krzyżowców, jakimi są Ojcowie Biali.

Przeszłość na każdym kroku głośno przemawiała do każdego pielgrzyma. Wszak tutaj wśród dwudziestu pięciu wieków powstawało jedno państwo na ruinach drugiego, i za każdym razem wspaniałe budowle i pałace wznoszono na szczątkach budowli poprzednich. Dziś wszystko się w proch obróciło, nietylko Kartagina starożytna, rzymska i pogańska — wszak tylko kupę gruzów pokazują jako ślad świetnej osady punickiej, rywalizującej niegdyś z Rzymem — ale w proch się obróciła i dawna Kartagina chrześcijańska. Zdobywcy kraju Tunisu, Fenicjanie, Rzymia-

nie, Wandalowie, Grecy, Turcy — wreszcie Francuzi, galery korsarskie, straszne cierpienia i okrucieństwa niewolnictwa, wszystko to przesuwa się jak cień ponury w wyobraźni. Ale pozostały i przemawiają niemilknącym głosem akta męczenników, których krew użyźniła tę ziemię. Wszak tutaj święta Perpetua i Felicyta prócz tylu innych tysięcy męczenników zdobyły palmę zwycięstwa w tym właśnie amfiteatrze, w którym kongres kilka razy się zbierał, stąd *) biskup Kartaginy, św. Cyprjan, wysyłał gorące swoje napomnienia, a wśród ruin bazyliki jemu poświęconej, odśpiewano Mszę św. zamykającą kongres. Tutaj Tertuljan pisał swą apologetykę i tu rzucił światu pogańskiemu swe słynne wyzwanie. Tu rozgrywało się życie św. Augustyna, które znamy z jego *Wyznań*, a staje na myśli zwłaszcza ta chwila, gdy, jako młody retor, opuszczał pokryjomu Kartaginę, by udać się do Rzymu, pozostawiając tej nocy tragicznej w żalu i łzach pogrążoną matkę, w tej właśnie bazylice św. Cyprjana. Wszak na tem wzgórzu Byrsa, które opisuje Wirgiljusz i które było niegdyś centrum dawnej Kartaginy, a na którem stoi dzisiejsza bazylika, skończyła się tragicznie druga i ostatnia wyprawa krzyżowa św. Ludwika; podyktowawszy swemu synowi testament, wyliczający mu obowiązki panującego, oddał on tutaj ostatnie tchnienie, w akcie adoracji eucharystycznej.

Wspomnienia te ogarniały i krzepiły uczestników. Bo nie brakło kongresowi i zawodów. Zawodem była przedewszystkiem zupełna nieobecność świata arabskiego. Wprawdzie bey Tunisu przyjął godność prezesa komitetu honorowego, wraz z arcybiskupem Kartaginy i wraz z rezydentem. Ale ze strony ludu nie było żadnego odruchu, nawet objawów ciekawości, wobec wydarzenia dla Tunisu tak bardzo niezwykłego. I choć muzułmanie z Tunisu nie okazują fanatyzmu, to jednak nie przeniknął do nich wpływ duchowy współżyjących z nimi chrześcijan. Zato wielką pociechą były objawy życzliwości dla kongresu ze strony rządu francuskiego, które dawało się odczuć tysiącznemi sposobami, jak przyjęcie legata papieskiego przez rezydenta, honory wojskowe oddawane władzom duchownym przez cały czas kongresu, wystawienie tego morza namiotów, w których zamieszkały setki kapłanów i seminarzystów, obecność wreszcie rezydenta, niekatolika, na uroczystościach zakończenia kongresu.

*) jak przypomina *Revue catholique des idees.*

Kartagina choć nie jest już centrum w Afryce w tem znaczeniu, jak była dawniej, jest jednak centrum ruchu misyjnego dla tego kontynentu. I choć może Islam narazie broni się przed pełnym miłości uściskiem chrześcijaństwa, mimo to przejdzie ono poprzez piaski Sahary i dotrze do tych ludów czarnych, a ci, którzy krzyż noszą w sercu i na ustach, będą lepszymi apostołami niż ci, którzy krzyż ten nosili wyryty na mieczu.

Podajemy poniżej szczegółowy opis kongresu.

Od czasów rzymskich, nie widziała jeszcze nigdy Kartagina tak wielu ludzi, jak w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Czekano przybycia piętnastu tysięcy osób, co, wziąwszy pod uwagę ludność miejscową, sprawiło, że sześćdziesiąt do ośmdziesięciu tysięcy osób wzięło udział w wielkich, publicznych uroczystościach Kongresu. Droga, prowadząca z Tunisu do Kartaginy, została całkowicie przebudowaną i zamienioną na wielki trakt główny, o szerokości cztero lub pięciokrotnie większej niż dawniej. Na rozległej górze Byrsa, wznoszącej się nad zatoką, urządzono szeroką platformę, na której piętnaście tysięcy pielgrzymów mogło uczestniczyć w nabożeństwach, odbywających się na wolnem powietrzu, i zapomocą rozgłośników radjowych przysłuchiwało się przemówieniom. Na jednym końcu areny w amfiteatrze Męczenników, urządzono także szeroką platformę, skąd przez specjalnie zbudowane schody można było schodzić do podziemnej kaplicy św. Perpetuy i św. Felicyty. W innych miejscach wzniesiono wspaniałe łuki triumfalne. W Bazylice Maiorum, gdzie O. Delattre odnalazł cenny kamień grobowy św. Perpetuy i św. Felicyty, dokonano też licznych prac. Usunięto tam wiele ruin, tak, że duża ilość osób mogła słuchać Mszy św. na wolnem powietrzu wokoło krypty Męczenników. Dawną kryptę, czyli confessio świętych otoczono specjalnie urządzoną ścieżką dla pielgrzymów, a w górze umieszczono światło i piękny baldachim, w kopule którego umieszczono cyborjum z dawnej bazyliki.

Wszelkie życzenia licznych stowarzyszeń zostały odpowiednio uwzględnione. Trzynaście okrętów, stojących na kotwicy, służyło za hotele, podczas gdy większość pielgrzymów znalazła pomieszczenie na lądzie. Setki mieszkańców Tunisu ofiarowało częściowo lub w całości swoje domy dla użytku pielgrzymów, a sami przenieśli się do namiotów, a trzeba zaznaczyć, że i ludność żydowska okazała wiele dobrej woli pod tym względem. Dla kapłanów i seminarzystów wzniesiono osobne i specjalne namioty. Każdy namiot mieścił cztery łóżka, a posiłki pobierano wspólnie w wielkich restauracjach na 3.000 osób. W klasztorze św. Moniki powstało jakby całe nowe miasto, z licznemi sypialniami, kaplicami, restauracjami i t. d. Dwa razy dziennie wydawano tam posiłki dla czterech tysięcy osób. Pozatem SS. Franciszkanki opiekowały się namiotami pielgrzymów, które ustawione równolegle, w równych od siebie odstępach, i poprzedzielane prostemi ulicami, przypominały rzymskie obozy. Odpowiedniego pojęcia o wszystkich urządzeniach, jakie tam zostały zaprowadzone, dostarcza fakt, że 2.500 kapła-

nów odprawiało codziennie Mszę św. Z samej tylko Francji przybyło dwa tysiące kapłanów i około tysiąca seminarzystów. Zorganizowano dziewięć narodowych sekcyj, mianowicie francuską, kanadyjską, włoską i maltesiańską, belgijską, duńską, niemiecką, polską, angielską, (W. Brytanja, Irlandja, Stany Zjednoczone Ameryki), hiszpańską, sekcję wschodnich obrządków i liturgij. Hymn dla kongresu napisał O. Boubee, a tak wielką ilość nadesłano do niego melodyj muzycznych, że sąd konkursowy musiał wybierać z pośród 353 nadesłanych, i wybrał wreszcie kompozycję, nadesłaną przez Kanonika Lecocq, wice-kanclerza diecezji Laval.

Program Kongresu.

We środę, 7 maja, nastąpiło otwarcie kongresu w Tunisie, gdy kardynał-legat udał się w procesji z portu do katedry. Tam nastąpiło powitanie, odczytanie bulli papieskiej i udzielenie uroczystego błogosławieństwa. We czwartek 8-go maja, odbywały się wszędzie Msze św., począwszy od 6-ej godziny rano, a o 10-ej godzinie uroczysta Msza św. w katedrze kartagińskiej (św. Cyprjana i Ludwika). O 3 i pół odbyło się wielkie zgromadzenie w amfiteatrze, w którym św. Perpetua i św. Felicyta, oraz wiele tysięcy innych męczenników poniosło śmierć męczeńską. Po tem zgromadzeniu i innych zebraniach sekcyjnych nastąpiło ogólne wielkie zgromadzenie na górze Byrsa. W piątek odśpiewano uroczystą Mszę papieską w Bazylice Maiorum, gdzie św. Augustyn wygłaszał kazania o świętych męczennikach. W sobotę Msza papieska odprawioną została w amfiteatrze; a zebrania sekcyjne i ogólne zgromadzenie tak jak dnia poprzedniego; wieczorem słuchanie spowiedzi przed powszechną Komunją św., którą rozdzielono w niedzielę rano.

W niedzielę legat odśpiewał Sumę na wolnem powietrzu wśród ruin bazyliki św. Cyprjana. Popołudniu wielka procesja z Najświętszym Sakramentem. Wyszła ona z katedry, udała się do amfiteatru, i powróciła do katedry, gdzie z balkonu kardynał legat udzielił uroczystego błogosławieństwa. W ciągu całego trwania kongresu odbywało się wystawienie Najświętszego Sakramentu tak w Kartaginie, jak w Tunisie.

Najważniejszym z referatów, był referat pod tytułem „Doktryna i praktyczne znaczenie Eucharystji, według nauki św. Augustyna i innych Ojców Kościoła w Afryce". Na ogólnych zgromadzeniach w czwartek, piątek i sobotę odczytano kolejno trzy główne następujące referaty: „Obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie a Najśw. Ofiara, według nauki Ojców z Afryki", referat kanonika Philips z wielkiego seminarjum w Lovanium; „Komunja święta według nauki Ojców z Afryki", referat kanonika Pons z katedry w Tunisie; „Świetność dawnego Kościoła w Afryce, i jego odrodzenie w dziewiętnastym wieku", referat L. Bertranda, członka Akademji francuskiej. Lista programów poszczególnych sekcyj jest niezmiernie długą. Do mężczyzn adorujących Najświętszy Sakrament w nocy, Mgr. Tissier, biskup z Chalons, mówił o świętej Eucharystji jako tej, która rodzi Świętych i Męczenników; O. Parra, kierownik dziecinnej krucjaty eucharystycznej wyjaśnił dzieciom symboliczne znaczenie palm; na zebraniach sekcyjnych dla duchowieństwa wygłoszono referaty w sześciu językach o teo-

logji augustjańskiej i o świętej Eucharystji. Zostały również odprawione i wyjaśniane nabożeństwa w obrządku armeńskim, syryjskim, rosyjskim, greckim i rumuńskim.

Do kardynałów biorących udział w kongresie należeli: kardynał Verdier z Paryża, kard. Charost z Rennes, Ascalesi z Neapolu, Lavitrano z Palermo, Hlond, prymas Polski, Van Roey z Malines, Mac Rory z Armagh, Faulhaber z Monachium, i O. Connel z Bostonu. Przedstawicielem hierarchji angielskiej był arcybiskup z Birmingham, a francuskiej arcybiskupi z Aix, Albi, Auch, Chambery, i Rouen; dwudziestu pięciu francuskich biskupów diecezjalnych, oraz kilku sufraganów i biskupów misyjnych. Wśród wielu innych przybył również główny przełożony Ojców Białych z Misyj afrykańskich w Ljonie, przełożony OO. Augustjanów Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, przełożony kanoników Regularnych Niepokalanego Poczęcia, opat z Lérins, i opat Cystersów. Skład stałego Komitetu Międzynarodowego kongresu Eucharystycznego stanowią: Mgr. Heylen, biskup z Namur, sekretarz generalny hr. Henryk d'Yanville, oraz trzydziestu pięciu członków, z których jedenastu jest Francuzami, a dwudziestu czterech należy do ośmiu różnych narodowości.

Przyjazd legata papieskiego.

W potokach olśniewającego słońca, wśród gwizdu syren parowców i powitalnego huku armat wpłynął do zatoki tuniskiej okręt *Citta di Napoli*, wiozący legata papieskiego Mons. Lepicier. Dostojnego gościa oczekiwali przedstawiciele wszelkich władz w Tunisie, duchownych, świeckich i wojskowych. Gdy statek przypłynął, udali się na pokład przedstawiciel rezydenta francuskiego, przedstawiciel bey'a Tunisu, kardynałowie Verdier i Charost, Mons. Heylen wraz z członkami komitetu kongresu i przedstawiciele miasta. Ze statku udał się legat wśród szpalerów wojsk prezentujących broń wprost do katedry, gdzie go przyjmował arcybiskup Kartaginy wraz z kapitułą.

Gdy orszak doszedł do katedry, wśród natężonej uwagi i wzruszenia tłumów, kardynał Legat przemówił kilka gorących słów, pełnych wiary i pobożności: przypomniał triumf Jezusa, który rozpoczął się obecnie szczęśliwie na ziemi afrykańskiej, podniósł hołdy składane Jego Następcy na ziemi, Najwyższemu Pasterzowi, wezwał wreszcie opieki Najświętszej Dziewicy i Patrjarchy Józefa, by błogosławieństwa i łaski niebieskie spłynęły obficie na kartagiński kongres eucharystyczny.

Wysłannik papieski udał się następnie w odwiedziny do rezydenta francuskiego p. Mancheron; tak po jego przybyciu jak i przy opuszczaniu poselstwa oddział infanterji oddał mu honory wojskowe. Wkrótce potem rezydent w otoczeniu dostojników świeckich i wojskowych udał się do arcybiskupstwa, gdzie oddał wizytę Przedstawicielowi Papieża. Eucharystyczna uroczystość kartagińska rozpoczęła się szczęśliwie pod znakiem wielkiej pobożności chrześcijańskiej: rezydent, wznawiając starodawny zwyczaj średniowieczny i pragnąc uświetnić początek wielkich uroczystości religijnych, ułaskawił ku uczczeniu Następcy Jezusa Chrystusa dziesięciu skazanych.

Następnego dnia popołudniu, to znaczy 7 maja, nastąpiło uroczyste

otwarcie kongresu, podczas którego legat papieski przemawiał i udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, poczem odbyło się pierwsze zebranie sekcyjne, mianowicie zebranie stowarzyszeń św. Wincentego a Paulo, do których przemawiał Mons. Baudrillart na temat widoków wiary katolickiej w krajach islamu.

Hołd dzieci.

Czwartek dzień następny, był dniem dzieci. Rankiem tego dnia pięć tysięcy dzieci zebrało się na Mszę i Komunję św. w stadjonie specjalnie przygotowanym. Dzieci ustawione w kształt olbrzymiego krzyża, ubrane były biało, jakby do pierwszej Komunji św. W miejscu krzyżowania się ramion krzyża wstawiono olbrzymi ołtarz, przy którym kardynał Hlond odprawił Mszę św., a kilku kapłanów rozdawało Komunję św. Popołudniu zebrały się jeszcze większe ilości dzieci w amfiteatrze kartagińskim na swą procesję.

Ten dzień hołdu dzieci nadał XXX międzynarodowemu kongresowi eucharystycznemu szczególną cechę. Uroczystość, która odbyła się popołudniu wśród ruin amfiteatru, gdzie mali krzyżowcy eucharystyczni wnieśli swoją nutę czystości i pogody chrześcijańskiej, pełną religijnego nastroju, pozostanie jedną z najwięcej charakterystycznych uroczystości tego kongresu kartagińskiego.

Amfiteatr kartagiński leży na zachód od czarujących wzgórz Byrsa, z przeciwnej strony morza, nad szeroką płaszczyzną, która od stoku pięknego wzgórza rozciąga się aż do Tunisu. Tak duży, jak amfiteatr rzymski, miał on trzy piętra arkad wzniesionych jedna nad drugą i był ozdobiony rzeźbami realistycznemi, przedstawiającemi zwierzęta. Dla nas jednak jest on świętym dla krwi męczenników, która oblała jego areny.

Ponad kryptą świętych męczenników postawiono wielki obraz, przypominający ich bohaterskie poświęcenie. Przygotowano również wielką trybunę, gdzie zajął miejsce kardynał-legat, otoczony siedmioma dostojnikami w purpurze, i dwustu Ojcami Białymi, synami wielkiego kardynała Lavigerie. Przedstawicielowi Papieża towarzyszył Mons. Martani i Mistrz Ceremonji Mons. Calderari. Przybył on o godz. 3 i pół. Amfiteatr przepełniały niezmierne tłumy. Wkrotce rozpoczął się pochód tysięcy dzieci, biało ubranych, z krzyżem purpurowym na piersiach, z palmą męczenników w ręku. Wspaniały ten biały orszak posuwał się powoli, wśród śpiewu psalmów. Mali krzyżowcy Eucharystji śpiewali: Hosanna Synowi Dawidowemu i znany hymn: Jestem chrześcijaninem! Był to obraz nieporównanej piękności pod tem niebem, pod którem myśleli, kochali, i walczyli Tertuljan, Cyprjan i Augustyn. W duszach powstawał i ożywiał się obraz starożytnych wyznawców wiary, postacie św. Perpetuy i św. Felicyty. Trzykrotnie wysławiał św. Augustyn genjalną swoją wymową ich ofiarę. Przypominamy sobie sen Perpetuy w wigilję męczeństwa. Widziała się ona przebraną za mężczyznę, natartą oliwą, jak atleta, i walczącą w amfiteatrze pod wzrokiem przewodnika atletów przeciwko Egipcjaninowi o straszliwym wyglądzie; odniósłszy zwycięstwo otrzymała z rąk naczelnika atletów złotą gałąź i wyszła przez bramę żyjących. Wraz ze swymi towarzyszami została przyjętą w wspa-

niałym ogrodzie, pełnym kwiatów i wielkich krzewów, które poruszał ciągle łagodny powiew; aniołowie zaprowadzili ją do Zbawiciela, który obdarzył ją pocałunkiem pokoju.

Takie wspomnienie, taki obraz męczenników obudził widok uroczystego orszaku dzieci, trzymającego palmy triumfalne i śpiewającego Hosanna Chrystusowi. Odpowiednie przemówienia odsłoniły dzieciom i tłumom świetlane znaczenie tej uroczystości i przypomniały zasługi świętych atletów Chrystusa. Wysłannik papieski udzielił błogosławieństwa eucharystycznego wśród głębokiej ciszy i czaru świętych ruin, gdy tysiące serc, złączonych jednem świętem wzruszeniem, uwielbiły Pana Życia, który stworzył i stwarza silnych.

Gdy skończyła się ta niezapomniana i wzruszająca uroczystość, długie okrzyki wzniosły się ku niebu. Gorące serca wiernych złożyły hołd Chrystusowi Królowi, Jego Zastępcy na ziemi i Jego przedstawicielowi na ziemi Afryki chrześcijańskiej.

W nocy z czwartku na piątek rozpoczęła się o godzinie 10-ej adoracja nocna, w której brało udział tysiące i tysiące mężczyzn. Zakończyła się ona Mszą św., celebrowaną o północy, i ogólną Komunją św.

W piątek Msza św. pontyfikalna odbyła się w *Basilica Maiorum*, a popołudniu trwały wytężające prace różnych sekcyj.

Sekcje prowadziły swoje prace w różnych lokalach, przyznanych im w Kartaginie i w najbliższej okolicy. Zaznaczyć trzeba wielkie ożywienie, jakie panowało w sekcji polskiej. Podnieść też należy prace sekcji holenderskiej i flamandzkiej, które oklaskiwały ks. Bosmana, mówiącego o „Eucharystji i życiu pierwszych chrześcijan", oraz ks. Lukassen z Hagi, mówiącego o „Lidze eucharystycznej niderlandzkiej", wreszcie biskupa de Gand, który mówił o „Nabożeństwie Holendrów i Flamandów do Najświętszego Sakramentu".

Licznych i cennych wiadomości udzielił Mgr. Evreinof, archimandryta katolickiego kościoła rosyjskiego w Paryżu, w swojem przemówieniu o „Męczennikach katolickich rosyjskich Eucharystji", z których wielu jeszcze żyje. Szczegóły te winny być powszechnie znane. Jakąż straszną stanowią one ilustrację do ostatnich oświadczeń Najwyższego Pasterza i jakim hołdem są dla Eucharystji!

Wspomnieć też należy liczne zgromadzenia katolików angielskich i czecho-słowackich. Wszystkie te zebrania z trudem zdołano zakończyć do 5-ej godziny, w której miało się odbyć walne zgromadzenie.

Sława i talent L. Bertranda przyciągnęły na wzgórze św. Ludwika, w sobotę, w czasie gdy upał już mija, publiczność złożoną z 20.000 osób. Nikt nie został zawiedziony, gdyż L. Bertrand, w zielonym stroju członka Akademji francuskiej, umiał wywołać w sposób porywający przeszłość tę, której nikt nie zna lepiej od niego, i wyciągnąć z niej wielkie nauki dla czasów współczesnych.

Jego przemówienie zwróciło się najpierw do tych czasów, w których on, ciekawy podróżnik, spragniony wrażeń i przygód, odkrywał przeszłość chrześcijańską, i stanowiło jakby zachwycające wspomnienie tego pierwszego zetknięcia się z ziemią Afryki. Później w wzruszający sposób przedsta-

wił święte męczenniczki Perpetuę i Felicytę. Przemówienie jego wywołało wizję Afryki jeszcze ujarzmionej, w której żyła dusza chrześcijańska i podało wzruszający obraz św. Augustyna, doktora miłosierdzia, którego nauka odpowiada specjalnie międzynarodowemu kongresowi eucharystycznemu, „świętu wspólności braterskiej, na które wszyscy są zaproszeni, nawet ci, którzy nie są Chrystusowi".

Nauka ta zasługuje na tem usilniejsze przypomnienie w tych czasach, w których teorje walk klasowych szerzą tak wiele spustoszeń. Nie należy zapominać, że jedynym gestem, który rozbraja nienawiść i uspokaja serca, jest przełamanie chleba i ofiarowanie kielicha, i że najskuteczniejszym i najprawdziwszym symbolem braterstwa narodów jest zawsze stół komunji, mensa martyrum, który przodkowie naszej wiary stawiali na cmentarzach i w kościołach Afryki. Nie zapominajmy o tem i nauczajmy tego nieustannie.

Wieczorem, we wszystkich kościołach i kaplicach kapłani kongresiści, obdarowani przez Mgr. Lemaitre'a tą samą władzą jaką posiadają w swoich parafjach, spowiadali aż do późnej nocy pielgrzymów.

Ostatni dzień.

Na tle wspaniałych czerwonawych wzgórzy, w blaskach złotego słońca pod lazurowem niebem, z widokiem na morze zielone i szafirowe, okolone łańcuchem gór, odbyła się uroczysta, ostatnia Msza kongresu.

Odrestaurowane kolumny bazyliki św. Cypriana ukazują majestatyczną jej wielkość. W miejscu, w którem niegdyś znajdował się ołtarz, wzniesiono pod cyborjum o wyglądzie starożytnym, ołtarz dzisiejszy. W pobliżu urządzono tron dla Kardynała Lépicier.

U stóp ołtarza zajęli miejsca na prawo dyplomaci francuscy, a z lewej strony najwyżsi urzędnicy, przedstawiciele władz świeckich i wojskowych. Na dwóch wielkich estradach zgromadziło się przeszło 150 biskupów i dostojników Kościoła, główny komisarz Dufour de la Thuillerie, zastępca generała Castelnau, oraz członkowie stałego komitetu międzynarodowych kongresów. Ogromne zastępy duchowieństwa *in nigris* i zaproszeni goście zapełnili pozostałe miejsca bazyliki. Tłumy publiczności, zebrane wokoło i sięgające daleko, zajęły stoki górskie, schodzące ku starodawnej świątyni i ogrody klasztoru św. Moniki. Wszystkie malownicze wzgórza Sidi-Bu-Said pokryły rzesze ludzkie. Liczba i postawa tych 20.000 osób dodaje jeszcze wielkości temu obrazowi.

O godzinie 10-ej i 15 minut odzywają się trąby, przybywa długi orszak kardynałów i biskupów, poprzedzający kardynała-legata, który kroczy ze złożonemi rękami w białych rękawiczkach, w złotej kapie, z mitrą na głowie i krzyżem w ręce. Otacza go dwóch podkomorzych papieskich, hr. Caccia-Dominioni i hr. d'Esclaibes, w czarnym stroju z czasów Henryka II, z białemi krezami wokoło szyji, oraz rycerze maltańscy i rycerze świętego Grobu. Legatowi towarzyszy Mgr. Lemaitre oraz jego orszak.

Otoczony kardynałami w cappa magna, ustawiającemi się wokoło ołtarza, kardynał legat wstąpił na tron i rozpoczęła się Msza św. Chór złożony

z trzystu osób odśpiewał pięknie pieśni z towarzyszeniem orkiestry. Samą Mszę św., która była Mszą Najświętszego Sakramentu, odśpiewał chór Ojców Białych (śpiew gregorjański), których czerwone fezy odbijały malowniczo w czarnym tłumie kapłanów.

Po Ewangelji kardynał Lepicier zajął miejsce w pośrodku ołtarza i wygłosił przemowę, w której wyraził wielką radość przepełniającą jego serce, i skłaniającą go do uwielbienia Boga za ten dzień błogosławiony, i do wysławiania wiecznej młodości Kościoła, Kościoła męczenników, wyznawców, wielkich biskupów, jak Cyprian i Augustyn, który święci dziś triumfy w tym kongresie eucharystycznym, i w przyszłości święcić będzie ziszczenie wielkich nadziei, obudzonych przez ten triumf. Kończąc swoje przemówienie kardynał legat złożył podziękowanie wszystkim władzom obecnym, i przypominając, że w dniu jutrzejszym przypada święto św. Achilla, prosił o specjalną modlitwę za Piusa XI.

Wśród wielkiego skupienia odbywała się w dalszym ciągu Najświętsza Ofiara; całe zgromadzenie odśpiewało Credo, a po odśpiewaniu prefacji i po majestatycznej ciszy towarzyszącej Adoracji, nastąpiło zakończenie Mszy i błogosławieństwo papieskie, poczem wśród przejawów długo hamowanego wzruszenia powrót kardynałów, prałatów i legata do klasztoru św. Moniki, gdzie podano im śniadanie.

Procesja eucharystyczna.

Trzydziesty międzynarodowy kongres eucharystyczny zakończył się w niedzielę popołudniu apoteozą; niebo i ziemia, wspomnienia przeszłości i wiara dzisiejsza, złożyły się, by uczynić ją jak najwspanialszą i najbardziej triumfującą.

Wszystko przyczyniło się do uświetnienia ostatnich chwil tej uroczystości, która pozostanie jedną z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek urządzono dla uczczenia Jezusa w Hostji: malowniczość okolic i wielkość wspomnień, wywoływanych przez nie, piękna pogoda, ogromny napływ tłumów, dochodzących do 150.000 osób, spoglądających ze stoków wzgórz, spływających łagodnie ku amfiteatrowi, na procesję złożoną z 10.000 kapłanów i świeckich osób, cudowny porządek tej procesji, postępującej wśród dwóch szeregów strzelców senegalskich, prezentujących broń przed Najświętszym Sakramentem, karność przestrzegana przez wszystkich, i układ samego pochodu.

O oznaczonej godzinie wzgórza punickie oświetlone jasnemi promieniami słońca, zapełniły takie tłumy, że można było mieć złudzenie, iż Kartagina, pod wpływem jakiejś tajemniczej potęgi, obudziła się z wiekowego milczenia swoich ruin, i oddycha nadmiarem pełni swego życia i swojej historji, jak w owych czasach, gdy Augustyn spoglądał na nią po raz pierwszy zachwyconemi oczami studenta z Madaury.

Katedra, rysująca się wyraźnie w blaskach słońca, z dwoma wysokiemi i strzelistemi wieżami, wydawała się przemienioną w jakąś fantastyczną wizję nieprzemijającej piękności. Z jej bram wypływać zaczął kartagiński orszak eucharystyczny, orszak niezwykły i zadziwiający.

Otwierały go, pełne wdzięku i świeżości dzieci szkolne, prowadzone

i uszeregowane przez nauczycieli; dalej postępowały bractwa, stowarzyszenia, delegacje różnych krajów, jak Tunisu, Algeru, Francji, Włoch, Ameryki, Kanady, Polski, Czecho-Słowacji, Hiszpanji.

Następnie szły tysiące kapłanów w uroczystych szatach, którzy uczestniczyli w kongresie kartagińskim, kapłani przebywający w Tunisie, liczne szeregi zakonników, wspaniałe grupy biskupów i arcybiskupów, najwyżsi dostojnicy w purpurach, otaczający rzymską świetnością Boskiego Króla w Eucharystji, i wreszcie wzniosły, w blaskach niesionej przez siebie wielkiej monstrancji, Legat papieski.

Nie brakowało i przedstawicieli władz świeckich i wojskowych w tym świetnym hołdzie dla Króla pokoju. W procesji uczestniczył generał Chambron, komendant naczelny wojsk w Tunisie, oraz grupy marynarzy i katolickich posłów francuskich, którzy chcieli stanowić straż honorową w orszaku Chrystusa Pana

Cudowny pochód zamykali członkowie Komitetu kongresów międzynarodowych eucharystycznych, i liczna grupa Ojców Białych, których koncert muzyczny podnosił jeszcze piękno procesji melodjami religijnemi i śpiewami eucharystycznemi.

Wspaniały, malowniczy i pobożny orszak, mieniący się różnobarwnemi sztandarami, zasypywany ciągle ulewą kwiatów, zeszedł powoli ze wzgórza, rozbrzmiewając psalmami w blaskach słońca, i zmierzając ku zachodowi, gdzie na krańcach płaszczyzny kartagińskiej wznoszą się szerokie i wspaniałe ruiny amfiteatru. Tam zatrzymał się Triumfator pokoju, błogosławiąc arenę, przesiąkniętą jeszcze świętą krwią, przelaną tu strumieniami, ponieważ panowanie Jego rozciąga się zwycięsko ponad wszelkiemi burzami i wszelkiemi walkami.

Stąd skierował się pochód ku wzgórzu św. Ludwika, ku katedrze białej i wysokiej, z podwójnemi wieżami. Ogromny tłum pełen życia i wielkiej radości zapełnił wspaniałe wzgórza kartagińskie. Przed bazyliką zgromadził się różnobarwny las sztandarów, by złożyć hołd Królowi pokoju. Niezmierne wrażenie sprawiło ukazanie się kardynała legata na wysokim balkonie katedry, podnoszącego monstrancję i intonującego Tantum ergo. Tłum na kolanach odpowiedział jednym głosem, płynącym z jednego serca; zatoka błyszczała w ciszy świętego wieczoru, wielkie wody Morza Śródziemnego zdawały się dziwić temu nowemu cudowi. Potem nastała wielka, mistyczna cisza, pełna potężnego, milczącego uwielbienia i pełna niezmiernej, jednej miłości wszystkich. Złota monstrancja, oświetlona słońcem afrykańskiem, uniosła się, błogosławiąc, ponad pochylonemi głowami, nad pogrążonemi w cichej adoracji sercami, przyjmując i odbijając światło jednego z najpiękniejszych krajobrazów świata, hołd złożony Bogu piękna i dobra, który wszystko stworzył z miłości.

Któż pamiętał o pogańskiem mieście ziemskiem i zmysłowem? O zamku pogańskim i bachicznych orgjach? Kto dumał o dzikości punickiej i rzymskiej, hordach wandalskich i arabskich przybywających jak fale spienione na ciche wzgórza Vergilego i zamieniających wszystko w ruinę, popioły i zniszczenie? Ale Afryka Cypriana i Augustyna, Afryka ciemna i pię-

kna, świetna swojemi bazylikami, apostolska setkami swoich biskupów, świetna mądrością swoich doktorów, powstała obecnie jakby cudem Niebios.

W ciszy rozbrzmiał nagle słodki śpiew; na wybrzeżach Afryki niezmierny tłum stutysięczny zaczął śpiewać hymn do Najświętszej Panny: Ave Maris Stella. Morze Śródziemne szumiało wielkiemi falami w blaskach gasnącego słońca, a melodje hymnu Marji wieńczyły koroną nieskończonej słodyczy pamiątkę triumfu eucharystycznego. Już słońce zniknęło i pierwsze cienie nocy afrykańskiej, pełnej czarów i uroków, zstępowały na wzgórze św. Ludwika, a tłumy nie przerywały jeszcze swojej radości i śpiewów. Kartagina zabłysnęła tysiącem uroczystych świateł; odpowiedział jej Tunis tysiącem innych świateł, odbijających się w przejrzystem jego jeziorze. Noc otoczyła swoim łukiem gwiezdnym wzgórze, teraz jeszcze bardziej święte, oddychające ostatniemi dźwiękami pieśni. Tak się zakończył kartagiński triumf eucharystyczny.

PRZEMÓWIENIE LEGATA PAPIESKIEGO NA KONGRESIE EUCHARYSTYCZNYM W KARTAGINIE.

„Zebraliśmy się tu wszyscy, kardynałowie, biskupi, kapłani i wierni ze wszystkich krajów świata, dla uczczenia Przenajświętszej Eucharystji.

Od pięćdziesięciu lat tajemnicza a przemożna siła zgromadza stale co pewien czas kwiat rodzaju ludzkiego u stóp świętej Monstrancji; już w czterech częściach świata złożyły tłumy przybyłe ze wszystkich krańców ziemi, hołd Chrystusowi-Królowi, obecnemu w Najświętszym Sakramencie Ołtarza. Najpierw odbyło się to w najsłynniejszych miastach Europy, potem w Azji, w Jerozolimie, świętem mieście, później w Montreal w Kanadzie, potem znowu na Malcie, królowej wysp, i w Chicago w Stanach Zjednoczonych; wreszcie przed dwoma laty w Sydney w Australji, gdzie złożyło hołd Hostji świętej kilkaset tysięcy ludzi, a wśród nich tysiące braci oddzielonych oświadczyło otwarcie, że Chrystus zstąpił pomiędzy nich.

Pozostawała jeszcze Afryka, ten rozległy ląd, kryjący tyle tajemnic, a budzący zarazem tyle nadziei. Należało, by jeszcze i ona pochyliła się do stóp świętej Hostji, by można było powiedzieć, że cały świat złożył hołd Bogu w Eucharystji. I to, co było pobożnym snem, stało się rzeczywistością.

Kartagina, wielkie, słynne miasto punickie, współzawodniczące z potężnym Rzymem. Wtedy była ona zwyciężoną, ale dziś w blaskach słońca Eucharystycznego zajmuje swoje stanowisko obok swego współzawodnika. Widzę tych szlachetnych Męczenników i bohaterów, podnoszących się ze swoich grobów z okrzykiem: „W miłości Chrystusa, która jest jedyną ważną rzeczą, nie ustąpimy w niczem naszym zwycięzcom, Rzymianom".

Opatrzność oddawna przygotowała tę gloryfikację Eucharystji na ziemi afrykańskiej. Wśród znakomitych synów wielkiego kardynała Lavigerie, którzy tak bardzo przyczynili się do odrodzenia tego kraju, nie możemy nie wymienić Ojca Delattre, tego badacza i uczonego, który ożywił dla nas wielkie wspomnienia Męczenników afrykańskich. Te kamienie i ruiny, rozpoznane i odbudowane przez niego, przemawiają z nieprzezwyciężoną siłą. One zbliżają ku nam Perpetuę i Felicytę, Cypriana i całą historję, tak smutną z jednej strony, a tak pełną chwały z drugiej. One ukazują także wielką postać Augustyna, którego Jego Świątobliwość Pius XI uczcił niedawno tak wspaniale. Rozumiemy tu słowa św. Augustyna: „Chrystus nie umarł dla zbawienia tylko jednego narodu, ani tylko jednej rasy". Non pro Afris tantum crucifixus est Christus.

Gdzie nauczył się św. Augustyn miłości uniwersalnej swego Mistrza? Gdzie czerpali siłę wielcy Męczennicy afrykańscy, jak i inni Męczennicy wszystkich czasów, by odpowiedzieć godnie tej miłości, silniejszej niż śmierć? W szkole Eucharystycznej, której Cyprjan i Augustyn są dwoma nieporównanymi doktorami. Eucharystja jest tajemnicą miłości; nietylko dlatego, że niepojęta miłość ją stworzyła, ale dlatego, że ta miłość promienieje ze Świętej Hostji. Miłości tej potężne tchnienie odczuwa cała ludzkość, gdy Hostja podnosi się nad światem, by go błogosławić.

Eucharystja jest tajemnicą miłości Bożej, a także i miłości ludzkiej; miłości boskiej, to znaczy miłości Boga dla człowieka, i człowieka dla Boga; miłości ludzkiej, to znaczy miłości, jaką członkowie społeczeństwa ludzkiego winni żywić wzajemnie dla siebie. Ta druga miłość jest zależną od pierwszej. „Kto nie kocha Boga, kocha tylko siebie", powiedział Bossuet. By kochać bliźniego jak siebie samego, trzeba najpierw wyjść ze siebie i kochać Boga więcej niż siebie. Miłość raz zaczerpnięta z tego źró-

dła rozszerza się jednakowo na bliźnich. Kochamy go w społeczeństwie jako naszego brata, a nie jako niższego od nas (Bossuet, Méditations sur les Evangiles, XLVII, IX).

Obyż ta biała Hostja, ten sam Chleb Boski, którym żywią się wierni we wszystkich częściach świata, połączył wszystkich ludzi szczerą braterską miłością! „Kochajcie jedni drugich jak ja was ukochałem“, woła ze Swego Tabernakulum Boski Jezus. Mandatum novum do vobis, ut diligatis invicem sicut dilexi vos. Ubi caritas et amor, Deus ibi est.

Drodzy moi, największem mojem pragnieniem jest, by cechą charakterystyczną tego kongresu było urzeczywistnienie miłości braterskiej, której Eucharystja jest symbolem i ogniskiem.

Pragnąłbym, by wszystkie nasze studja zdążały jako do ostatecznego celu do Eucharystji, szkoły miłości braterskiej, tak wśród jednostek jak wśród narodów. Eucharystji, która pochyla się nad naszymi braćmi nieszczęśliwymi, by podac im rękę życzliwą w ich cierpieniach duchowych i materjalnych; która nie niszcząc niczego, złagodzi różnice rasowe; która budzi myśli tej miłości wzajemnej, stanowiącej kamień probierczy uczniów Jezusa Chrystusa. In hoc cognoscent omnes quia discipuli mei estis, si dilectionem habueritis ad invicem.

Ale w tem oddaniu światowego hołdu i miłości Bogu w Eucharystji nie mogło brakowac Papieża: Papieża, który jest Następcą Księcia Apostołów, Piotra, który pierwszy stwierdził uroczyście swoją wiarę w prawdziwą obecność i wobec wahań niepewnych kilku uczniów, których gorszyły słowa Chrystusa, zawołał z zapałem: Domine, ad quem ibimus? Verba vitae aeternae habes. *Papież jest zatem wpośrodku nas, jest swojem sercem, jest przez swego legata, jest przez ten cenny kielich, który złożył w darze moją ręką prymasowi Afryki, kielich, w którym cnoty symboliczne wiary, nadzieji i miłości łączą się razem w jedną modlitwę dziękczynną, podnoszącą się jak kadzidło ku tronowi Przedwiecznego.*

Przybądz, przybądź o Panie Jezu. Ciśniemy się ku Tobie, jak niegdyś tłumy w Judei. Sławimy Cię i wielbimy głośno razem z dziećmi jerozolimskiemi: Benedictus qui venit in nomine Domini. Hosanna in excelsis! — *Błogosławiony kto idzie w imię Pańskie. Hosanna na wysokościach!*“.

WIARA I NAUKA.

O METODZIE MONTESSORI.

Jedną z nauk, która najbardziej się rozwinęła w ostatnich kilkudziesięciu latach, jest pedagogika. Niełatwą jest jednak rzeczą zorjentować się wśród tylu najróżniejszych nowych teoryj i kierunków, jakie tu powstały i nieustannie powstają. Zdajemy sobie bowiem dobrze sprawę, że pod temi teorjami kryje się pewien metafizyczny pogląd na świat, nie utażsamiający się bynajmniej z światopoglądem chrześcijańskim. Przytem bardzo trudno jest nieraz zorjentować się w słownictwie tej pedagogiki, gdzie te same wyrazy nie pokrywają się ze znaczeniem, jakie im nadają katolicy.

Wśród tych nowych teoryj jedną z najsłynniejszych jest metoda Montessori. Dzielimy się dziś z naszymi czytelnikami z oceną tej metody, z punktu widzenia katolickiego, którą zamieszcza dwutygodnik włoski *Civilta Cattolica.*

Książka Dr. Marji Montessori „Dzieci w Kościele“ jest pracą szczęśliwie pomyślaną i wyrażoną w sposób zgodny z nauką katolicką. Metoda Montessori specjalnie jest skuteczną w zastosowaniu do wychowania religijnego dzieci. Jednakże tak tu, jak i w wychowaniu elementarnem, nie może ona nigdy stać się popularną, z powodu konieczności dobierania specjalnych wychowawców, przygotowania odpowiedniego „materjału” i „środowiska”, które jednak się często znajduje w instytucjach religijnych. Pomimo to jednak wszyscy wychowawcy na pierwszych stopniach nauki i kapłani, którzy posiadają obowiązek czuwania i kierowania wychowaniem religijnem dzieci, jeśli nie potrafią stworzyć „kościoła dzieci” ze wszystkiemi szczegółami, podanemi przez Montessori, znajdą ułatwienie i pomoc w swojej pracy, by uczynić wychowanie religijne dzieci bardziej owocnem, jeśli tylko będą usiłowali zrozumieć i zrealizować choć częściowo główne zasady metody Montessori, polegające na zainteresowaniu dzieci ich wychowaniem, nie tyle zapomocą nauk i wskazówek i upomnień, ale raczej przez potęgowanie czynnej współpracy, za pośrednictwem środków wskazanych przez Montessori.

Rzeczą pierwszorzędnej doniosłości jest umieć odróżnić tę główną zasadę od różnych innych otaczających ją teoryj i od błędnych i przesadnych zdań, któremi tak często zamącają istotę rzeczy tak inni autorowie, jak i sama Montessori w wykładzie swojej metody.

Ostatnia Encyklika o wychowaniu odnośnie do tego, że „niektóre systemy współczesne, które odwołują się do autonomji i bezgranicznej wolności dziecka, i umniejszają, a nawet zupełnie usuwają, autorytet i działanie wychowawcy, przyznając dziecku wyłączny przywilej inicjatywy i prawo działania niezależnego od wszelkich wyższych praw naturalnych i boskich”, tak powiada: „Jeśli niektórzy chcieliby w ten sposób zaznaczyć, choć niewłaściwie, konieczność czynnej współpracy stopniowo, coraz bardziej świadomej wychowanka w swojem wychowaniu, jeśli ma się zamiar usunąć z tego wychowania despotyzm i gwałtowność, (które zresztą nie są właści-

wym sposobem działania), będzie to słusznem, ale nie będzie to jednak nic nowego, czegoby już Kościół nie nauczał i nie praktykował w wychowaniu tradycyjnem chrześcijańskiem, na podobieństwo sposobu w jaki Bóg odnosi się do wszystkich stworzeń, które wzywa do współpracy czynnej, odpowiednio do natury każdego, ponieważ Jego Mądrość „rozciąga się potężnie od jednego krańca do drugiego, rządząc wszystkiem z dobrocią".

Ale w wykładach i wydawnictwach Montessori, przeznaczonych dla publiczności o różnorodnych poglądach i wierzeniach, emfaza przekracza nieraz te granice, poza któremi zdania nie mogą nie brzmieć nieodpowiednio i nie pozostawiają miejsca na dobrą wolę, by zmienić i nadać im właściwe znaczenie. Zdarzyło się to niedawno podczas przemówienia autorki, wygłoszonego na otwarciu „XV Kursu międzynarodowego metody Montessori", który odbył się w Rzymie. „Dziś święci się wyzwolenie duszy dziecka, ponieważ przekonano się, że stare metody pedagogiczne dręczyły je i obniżały jego zdolności umysłowe i moralne". Twierdzenie to jest stanowczo przesadzone. A jeszcze bardziej przesadnem, a również i sprzecznem z samym faktem metody Montessori jest to, co powiedziała ona na końcu swego przemówienia: „Nasze studja usiłują znaleźć środki rozwoju dziecka z jednej strony, a z drugiej znowu strony środki ograniczenia lub raczej jeszcze usunięcia osoby nauczyciela".

Słowa te przytoczone w jednym z dzienników rzymskich, powtórzył przegląd „Pro Infantia" (Brescia, 20 luty 1930), gdzie zauważono, że stoją one w sprzeczności z zasadą ożywiającą środowiska Montessori: „im bardziej winien wychowawca pozornie usuwać się na bok, pozostawiać dziecko swobodne, tem bardziej winien on w rzeczywistości być obecnym i działającym, by żywiołowa czynność dziecka przejawiała się w tym kierunku i z temi rezultatami, jakich on pragnie".

Należy podnieść, że ostatnie słowa Montessori powtórzone zostały w jednym poważnym miesięczniku w następujący sposób, ze słuszną interpretacją: „Nasze studja dążą do znalezienia odpowiednich środków dla rozwoju dziecka i pozatem granic dla naszej interwencji. Powinniśmy zamiast rozszerzać naszą działalność, ograniczać ją, zwracając uwagę na postępowanie pozostawionego na wolności dziecka. Prowadzi to do innego pojęcia, przeciwnego do tego, które tak długo pozostawało wyryte w duszy wychowawców. I przypominają się słowa Chrystusa, który zwracając się do ludzi powiedział: ... jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego".

Odnośnie do tych słów, wziętych z Ewangelji, należy przypomnieć, że Chrystus w tem miejscu (Mat. 18, 1, 6) mówi o dzieciach „które wierzą w Niego", to znaczy, które żyją nadprzyrodzonem życiem łaski; ma tu na myśli Chrystus nie dobroć naturalną, ale prostotę i pokorę wiary w Chrystusa, to „pius credulitatis affectus", dzieło łaski, bez której nie można wierzyć w Chrystusa i wejść do królestwa niebieskiego, którem jest Jego Kościół.

Interpretując w zbyt naturalistyczny sposób te słowa, odnosi się wrażenie, jakby się chciało usunąć wszelkie zewnętrzne przejawy autorytetu, co doprowadziłoby także i do usunięcia boskiego nauczania Kościoła, który

naucza w imieniu Chrystusa, oraz tradycyjnego wychowania chrześcijańskiego, które wprowadza tego rodzaju nauczanie. Znaczyłoby to potępić i odrzucić cały system dawnego wychowania, bez koniecznego odróżnienia, uznając iż „dopiero teraz przekonano się, że dziecko cierpiało w dawnych szkołach i że dawne metody zmniejszały jego siły fizyczne, a szczególnie jego siły umysłowe i moralne".

Niemniej dziwnie brzmią zdania Montessori, umieszczone w dwudziestu aforyzmach pedagogicznych, ogłoszonych w berlińskim przeglądzie „Die Neue Erziehung" (styczeń 1930) i powtórzone następnie przez rzymski „Rivista Pedagogica" (styczeń 1930). Niektóre z tych aforyzmów zgadzają się ze zdrowym rozsądkiem i prawdziwą interpretacją metody Montessori, którą już zaznaczyliśmy, jak naprzykład: „Pomagaj mi, bym mógł pomagać sam sobie". Inne natomiast brzmią zupełnie naturalistycznie i jakby anarchistycznie: „Ćwicząc się i zadawalając swoje potrzeby dziecko stawać się będzie coraz silniejsze". „Rozwój osobowości polega na uniezależnieniu jej od innych osobowości". „Zdolność czynienia wszystkiego samemu nie została jeszcze dostatecznie uwzględnioną dla rozwoju dziecka". Zdania te mogłyby dać zbyt dużo miejsca wolnego dla naturalizmu i indywidualizmu wybujałego, gdyby brało się je dosłownie, bez odpowiednich ograniczeń, które użyte w należyty sposób uwalniają aforyzmy od błędnego znaczenia. Gorzej jest jeszcze z dwudziestym aforyzmem, który powiada: „Sprzeciwianie się dziecka jest moralnem, inaczej bowiem jego wola zostałaby spaczoną". „Niebezpieczeństwo dziecka leży w jego posłuszeństwie i jego sugestywności i wrażliwości".

Pisarz z „Rivista Pedagogica" zwraca uwagę zupełnie słusznie: „Żaden naturalizm pedagogiczny tak jak ten naturalizm zawarty w owych dwudziestu aforyzmach, nie sprzyja więcej rozwojowi osobowości, ducha autonomicznego, a także i nieposłuszeństwa, oraz wytworzeniu osobowości wolnej, niezależnej, nie uznającej żadnego autorytetu dorosłych i tradycji".

Z powodu tych głównych błędnych zasad, które Montessori usiłuje przedstawić bez odpowiednich uzupełnień, metoda jej została przyjętą z zadowoleniem przez demokratów, fanatycznych liberałów i wszelkiego rodzaju zwolenników naturalizmu pedagogicznego, obudziła natomiast niechęć i podejrzenie u katolików.

O. Józef Schröteler, T. J. wybitny pedagog w Niemczech, który poświęcił się ścisłemu zbadaniu metody Montessori z punktu widzenia nauki katolickiej, oświadcza, że błędne wyrażenia autorki powodują fałszywe jej rozumienie, i dlatego katolicy niemieccy wypowiedzieli się przeciwko jej metodzie. Pomimo to jednak, poprawiając te błędne wyrażenia zapomocą innych wyrażeń tej samej autorki, O. Schröteler dochodzi do wniosku, że z punktu widzenia katolickiego nie ma racji sprzeciwiania się metodzie Montessori, ze względu na jej zasady. Ale czy wszystko w tej metodzie nadaje się do przyjęcia? Czy jest to metoda przyszłości i ostateczne rozwiązanie problemu wychowania dziecka?

Wobec aforyzmów tak absolutnych i tych wyrażeń, powtarzanych z takim naciskiem, zdawałoby się, że trzeba powiedzieć, iż Montessori odkryła „nowy sposób wychowania", zainicjowała przewrót w systemach wychowa-

wczych i otworzyła nową drogę, przeciwną wychowaniu tradycyjnemu. „Jest to istotnie odkrycie, które da odczuć nietylko wychowawcom potrzebę nowego wychowania, ale które sprawi, że powstanie zupełnie nowa filozofja życia", powiada emfatycznie komunikat sprawozdawczy z kursu prowadzonego obecnie przez Montessori w Rzymie. A ona sama w przemówieniu inauguracyjnem powiada: „Dziecko i dorosły, postawieni w stosunku wzajemnej harmonji, stworzyli nowe pojęcie szkoły, rodziny, a może i społeczeństwa".

Przystąpiwszy do zbadania teoryj Montessori z życzliwością i bez uprzedzeń, a przedewszystkiem osądzając je według praktycznych doświadczeń, O. Schröteler (w cytowanym wyżej artykule) wydaje o nich sąd raczej korzystny i przychylny. Przyjmuje on, że metoda Montessori może zostać wprowadzoną do wychowania katolickiego, ale „z pewnemi zastrzeżeniami", to znaczy odrzucając wszystko to, co się nie zgadza z doktryną katolicką, jak naprzykład wypowiadanie pewnych zasad i wszelkie stosowanie ich naturalistyczne; a korzystając z tego co nowe i dobre zarazem, jak przygotowanie odpowiedniego środowiska wychowawczego i reguły praktyczne wkraczania wychowawczyni odpowiednio do popędów, które pobudzają czynność dziecka i uzupełniają według zasad zdrowej wiedzy pedagogicznej to, czego brak metodzie Montessori.

W głębokiem studjum O. Schrötelera znajduje się na końcu piękne, syntetyczne ujęcie całej metody Montessori, rozpatrywanej z punktu widzenia zdrowej wiedzy pedagogicznej. Omawia on wyczerpująco i należycie wszystkie czynniki rozwoju wychowania, to znaczy: punkt wyjścia i cele, bezpośredniość i kierownictwo, produktywność i recepcyjność, ludzkość i indywidualność, oraz przyjmuje zasadę metody Montessori „spokojnego wyczekiwania" odnośnie do słynnej zasady „najmniejszego wysiłku" stosowanej w pedagogji, wobec czego wszystko to, co dziecko może uczynić samo z siebie, winno dokonywać bez interwencji wychowawcy; wychowawca ma interwenjować tylko wtedy, gdy niema lub być nie może popędu bezpośredniego ze strony dziecka i gdzie ten popęd nie ma dostatecznej energji lub gdy nie ma odpowiedniego kierunku. Dołącza on następnie inne rozumne wypróbowane reguły stosowania tych zasad, teoretyczne i praktyczne, w celu harmonijnego ujęcia całości metody Montessori, wykluczając i usuwając z niej braki i błędy.

O. Schröteler wymienia słusznie niektóre z głównych błędów metody, którą bada. Pierwszy i najważniejszy z nich polega na nieoznaczeniu wogóle celów samego wychowania, a zwłaszcza celu rozwoju wychowawczego dziecka w różnych okresach jego wieku. „Spokojne wyczekiwanie", które Montessori oznacza jako postawę wyłącznie przysługującą wychowawczyni, przypuszcza, że dziecko samo winno określić i wyznaczyć cel swojego rozwoju, własną swoją formę życia, czyli winno samo „stworzyć swoją osobowość" jak powiada Montessori. To prowadzi zaś do pozostawiania wyników wychowania na los przypadku. Jeśli się nie chce zniweczyć dzieła wychowawczego, trzeba, by wychowawca zdawał sobie jasno sprawę z celów wychowania. O tych celach idealnych wychowania Montessori nigdy nie wspomina. My katolicy znamy ostateczny cel idealny całego wychowania, wyznaczony przez strażniczkę i nieomylną Mistrzynię nauki Chrystusa. Polega

on na wyrobieniu prawdziwego chrześcijanina, to znaczy „człowieka nadprzyrodzonego, który myśli, sądzi i działa stale w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, oświeconym światłem nadprzyrodzonem przykładów i nauki Chrystusa", a przez to staje się on „prawdziwym człowiekiem charakteru", jak powiada Encyklika Piusa XI o wychowaniu chrześcijańskiem młodzieży. Montessori nie wyklucza tego ostatecznego celu, jak wykazuje cały system, którego główne zasady rozpatrywaliśmy, ale nie zaznacza go dostatecznie i nie podporządkowuje mu całego wykształcenia umysłowego i moralnego dziecka. Wykształcenie to, jak zaznaczyliśmy już kilkakrotnie, wydaje się raczej naturalistycznem i sugestywnem, pozostawionem impulsom dziecka, choćby i dobrym, ale zarazem i czysto indywidualnem skierowaniem ku „ukształtowaniu własnej osobowości", o której nic się nie mówi, na czem ma właściwie polegać, pozostaje przeto nieokreślona i zdana na wolę dziecka, jeśli już nie przypadku. Także we wspomnianych już regułach, przeznaczonych dla wychowawczyń, w których Montessori mówi o dobrych popędach, dobroć określoną jest w wyrażeniach naturalistycznych, niezależnie od wyższych praw naturalnych i boskich. „Podajemy dziecku wytwory cywilizacji i oczekujemy, co ono z nich uczyni. Jeśli nic nie uczyni, należy zostawić je w spokoju, uczyni więcej, jeśli się poczeka", powiada jeden z aforyzmów Montessori. Ta nieokreśloność jest wielkim błędem, który może wywołać wybujały indywidualizm i bezgraniczną samowolę, tak w teorji, jak i w praktyce.

By nie powtarzać ciągle tych samych rzeczy przy każdym rozdziale omawianych teoryj, kończymy streszczeniem: metoda Montessori jako system radykalny wychowania tak co do swego celu jak i swoich środków, byłaby fałszywą, przeciwną zdrowej tradycji wychowawczej, a także zasadniczym podstawom wychowania chrześcijańskiego, które opiera się na autorytecie wychowawcy, w ostatecznej analizie opierającym się na autorytecie Bożym i ostatecznym celu nadprzyrodzonym, do którego winien dążyć człowiek, jak naucza Encyklika Piusa XI. W tem znaczeniu odpowiada ona w większej części zwolennikom wychowania świeckiego bez Boga i pedagogji naturalistycznej, aż do teoryj najbardziej wywrotowych, nie wyłączając nawet bolszewickich.

Do rozumienia metody Montessori w tem znaczeniu pomagają jeszcze niektóre wyrażenia paradoksalne i radykalne. Jeśli będzie chciała uwolnić swą odpowiedzialność od tego rodzaju błędów, musi porzucić nietylko stanowczo i ostatecznie te wszystkie frazesy i sposoby wyrażania się, tak radykalne i przesadne, ale i wszelką pretensję, świadomą czy nieświadomą do wywołania całkowitego przewrotu w wychowaniu i do, — jak powiada Pius XI, — „stworzenia nowego wychowania, które usiłuje stworzyć nowe pokolenia dla wymarzonego szczęścia na tej ziemi" i „zrealizowania go jedynie zapomocą sił natury ludzkiej".

A przeciwnie trzeba, by uznała i przedstawiła swoją metodę, która należycie rozumiana jest metodą ułatwiającą zdrowe wychowanie tradycyjne, i która, daleką będąc od wszelkiego „rewolucjonizowania", byłaby pełną naturalnej harmonji i słusznego prawa do oryginalności, którą jej uczeni katoliccy chętnie przyznają.

BADANIA ARCHEOLOGICZNE W DOLINIE JORDANU.

Papieski Instytut biblijny kończy obecnie swój drugi okres pracy w dolinie Jordanu. Wyniki pierwszego okresu badań zostały całkowicie potwierdzone i zdobyto wiele nowych wiadomości. Poszukiwania te budzą ogólne zainteresowanie i wszyscy uznają ich wielką doniosłość. W nowem świetle ukazują się początki cywilizacji w Palestynie, jak również historja biblijna, zwłaszcza z czasów Abrahama.

Badane ruiny znajdują się w Transjordanji, w środku wschodniej części doliny Jordanu, 6 km. na północ od Morza Martwego, w okolicy zwanej Teleilat Ghassûl (Ghassul oznacza nazwę arabską rośliny, prawie jedynej, jaka wyrasta na tych wzgórzach).

Rozpoznaliśmy charakter i doniosłość archeologiczną tych miejsc w styczniu 1929 roku, podczas jednej z wycieczek biblijnych w tej okolicy, pisze korespondent *La Croix*. Gdy zatrzymaliśmy się w tem miejscu wzniesionem ponad płaskowyż, by rozpatrzeć się w krajobrazie, uderzyła nas niezwykła mnogość i wygląd archaiczny porozrzucanych kawałków krzemienia, skorup i innych śladów działalności ludzkiej, zaścielających ziemię. Czy było to zwykłe obozowisko, czy też pod osłoną tych szczątków kryło się jakieś dawne miasto, zniszczone i zgładzone z powierzchni ziemi od tysięcy lat? Warto było to stwierdzić. Wspaniałomyślny dar pewnej rodziny amerykańskiej, pragnącej pozostać nieznaną, ułatwił nam rozpoczęcie prac.

Ruina jest płaską i w większej części stanowi jakby dalszy ciąg niziny. Ma ona najmniej 550 m. długości, a 300 m. szerokości. Dzieli ją na dwie części mała wklęsłość, idąca z wschodu na zachód.

W tych dwóch pierwszych okresach naszej pracy dokonaliśmy głównego odkrycia w części południowej oraz kopaliśmy jeszcze w kilku innych miejscach, mianowicie w okręgu dalszym, w celu rozpoznania natury i rozciągłości ruin. Znaleźliśmy wszędzie oznaki tej samej cywilizacji.

Istniało tutaj wielkie miasto, a może i dwa miasta. Trzebaby przekonać się czy posiadało ono mury ochronne. Nie zbadaliśmy jeszcze tego. Odkryliśmy zato fundamenty kilku domów, ustawionych w prostokąt z prostemi ulicami. Podstawy tych budynków były naogół kamienne, reszta zbudowana była z cegieł, niekiedy cały dom był z cegieł. Cegły wyrabiane były ręcznie, nie odlewane, suszone na słońcu, i na niektórych widać jeszcze ślady palców robotników. Cały dom obejmował jeden lub dwa śpichlerze na zboże i inne suche produkty, okrągły piec, w którym znajdowaliśmy zawsze popiół, ognisko z płyt kamiennych, położonych na popiele lub węglach, na chleb, młyn ręczny, kamienie lub cegły ułożone, by podtrzymywać dzban na wodę, czasem mały pokój boczny. Nie znaleźliśmy jeszcze studni. Woda przechowywaną była w wielkich zbiornikach.

Naczyń znaleźliśmy wiele, ale wszystkie potłuczone. Kilka tylko mniejszych naczyń, umieszczonych pod ścianą, uniknęło katastrofy. O ile można sądzić, ceramika osiągnęła tam wysoki stopień doskonałości. Obejmowała ona różnorodne formy, wazy okrągłe, wazy w formie ptaków, małe kielichy na wydrążonej podstawie. Ozdoby białe i czerwone miały rysunek geome-

tryczny. Na wielu miejscach znajdują się ślady różnych plecionek, na których kładziono wazy przed ich wypaleniem.

Sprzęty wydobyte z wykopalisk obejmują broń, i naczynie przeznaczone do różnego użytku: młynki ręczne z bazaltu, i z różowego piaskowca; wazy i moździerze z odpowiedniemi tłuczkami z bazaltu; liczne naczynia z krzemienia, nożyce wyostrzone w wielkiej ilości, małe noże, świdry, małe gwoździe i różne inne narzędzia; pałki i maczugi z kamienia z otworem na rączkę drewnianą; narzędzia z kości, gwoździe różnych wymiarów, z których niektóre mogły służyć za sztylety, płaskie narzędzia nabijane gwoździami, które można uważać za grzebienie; ułożenie niektórych tych narzędzi mogło rzeczywiście tworzyć grzebienie do czesania wełny.

Znaleźliśmy także pieczęć i kilka przedmiotów ozdobnych, jak naszyjniki, łańcuszki, sznury pereł, z perłowej macicy, z kości i różnokolorowych kamieni.

Trzeba wspomnieć także o kilku grobowcach małych dzieci, znalezionych w pobliżu murów i w kątach. Kości ułożone były na szczątkach dzbanów starannie rozmieszczonych, celem osłonienia ich ze wszystkich stron. Ruiny te charakteryzują najlepiej wielkie ilości popiołu, które znajdują się we wszystkich pokładach archeologicznych, często i na powierzchni w wielkich ciemnych masach, sprawiających wrażenie spalonej wszędzie w tych miejscach głęboko ziemi.

Według wszelkich danych miasto to kwitnęło w trzeciem tysiącleciu przed Narodzeniem Chrystusa; posiadało wysoką cywilizację, jak na tak odległą epokę, a zostało zniszczone przez ogromny pożar, który obrócił je w popiół koło XX-go wieku przed Chrystusem, nie było już też więcej zamieszkane, a jego ruiny zostały tak unicestwione, że uszły wzrokowi archeologów.

Czy są to ruiny Sodomy (lub Sodomy i Gomorry razem?). Wiele przyczyn nakazuje tak sądzić i nie brak dowodów, dla poparcia tego twierdzenia, dowodów zaczerpniętych z Pisma św. i starodawnej tradycji, o doskonałych podstawach archeologicznych. Wykład tych tez wymagałby jednak więcej miejsca niż mogą go dostarczyć szpalty dziennika. Problem jest poważny i bardzo skomplikowany, stanie się on też przedmiotem głębszego studjum, którego pierwsza część ukazała się już w „Biblica" przeglądzie papieskiego Instytutu biblijnego, wydawanego w Rzymie (XI, 1930, str. 1 — 62).

Najwyższą zachętę dla naszych poszukiwań otrzymaliśmy jednak od Najwyższego Kierownika Kościoła, Papieża Piusa XI, chwalebnie panującego. Wiedząc o naszych odkryciach i oceniając ich doniosłość, pragnął Ojciec święty zaraz otrzymać wiadomości o wszystkich szczegółach. Skłonił On nas do dalszego prowadzenia naszych prac i chcąc również wziąć udział w naszych poszukiwaniach, do specjalnego błogosławieństwa dołączył jeszcze książęcy dar, by nam dopomóc w pokryciu pierwszych kosztów tego przedsięwzięcia, które wymaga jeszcze kilku lat pracy.

La Croix.

UZDROWIENIA W LOURDES.

Profesor medycyny, dr. J. Duvergey, chirurg szpitali w Bordeaux, wypowiedział na powyższy temat odczyt, który podajemy za *La Croix*.

Badanie uzdrowień w Lourdes, jak wszelkie badanie zagadnień religijnych, winno być podejmowane w taki sam sposób, i w takim stanie umysłu, z jakim przystępuje uczony do wydobycia praw natury bezstronną obserwacją, to znaczy bez żadnych z góry powziętych uprzedzeń, jedynie ze szczerą troską objektywnego zbadania faktów i z pragnieniem doprowadzenia do logicznych wniosków, wypływających z tego badania. W tym celu należy koniecznie odrzucić tę pychę, która nie pozwala niektórym zbliżyć się nawet do rozpatrzenia problemu nasuwającego się w Lourdes i usunąć tę nieżyczliwą postawę, niegodną duszy szczerze oddanej poszukiwaniu prawdy.

Zajmując tego rodzaju stanowisko, nie trzeba być wielkim umysłem, by ocenić prawdziwą wartość uzdrowień w Lourdes. Trzeba umieć również wybierać rozumnie wśród licznych faktów, niekiedy bardzo rozproszonych, podawanych przez dzienniki.

Dzięki Bogu ilość wielkich uzdrowień jest dostatecznie różnorodna, by mogła zadowolić najbardziej wymagających i najbardziej sceptycznych.

Nie można nigdy dosyć podkreślić surowości, z jaką przeprowadza się badanie tych nadzwyczajnych faktów, zdarzających się w Lourdes przy sadzawce, podczas procesji, w szpitalu, a nawet niekiedy zdala od tego miasta, w ubogiem mieszkaniu na poddaszu, w schronisku, w kraju misyjnym. Każdy wypadek uzdrowienia poddany jest ścisłemu badaniu, jakby chodziło o kwestje prawnicze, i dorównuje autentycznością faktom historycznym, opartym na różnorodnych dokumentach. Niektóre uzdrowienia poparte są setkami świadectw, badało je wielu znakomitych lekarzy, z których większa część pracuje w szpitalach i na wydziałach uniwersyteckich. Dlatego problem wywołany faktami zachodzącemi w Lourdes zostaje ujmowany nieugiętą logiką i ścisłością naukową.

Na poparcie i zilustrowanie tego twierdzenia konktretnym faktem, przytoczę historję pięknego uzdrowienia Joanny Dehant. Groziła jej amputacja prawej nogi, na której utworzył się wielki wrzód długości 32 centymetrów i 15 centymetrów szerokości, pokrywający całą prawie nogę od kolana aż do kostki. Ta olbrzymia rana skomplikowana z gangreną, wydawała woń odrażającą, ropiała niezwykle obficie i jątrzyła się od lat dwunastu. Pani Dehant została nagle uzdrowioną przy sadzawce, o 9-ej godzinie rano, 13 września 1878 roku; wrzód ten nagle i całkowicie się zabliźnił. Miałem sposobność widzieć tę cudownie uzdrowioną ranę w 1903 i 1904 roku, rana była ciągle doskonale zagojoną. Widziałem szeroką białą bliznę, nie sięgającą głęboko.

Wspaniałe to uzdrowienie stwierdziło przeszło sto świadectw, pochodzących od tych, którzy znali panią Dehant: lekarzy, przyjaciół, krewnych, sąsiadów, pielgrzymów, towarzyszy podróży i gospodarzy hoteli. Problem ten przedstawia się następująco: czy jest możliwe zabliźniecie tego rodzaju wrzodu w przeciągu kilku sekund, zapomocą tylko sił naturalnych? Wiemy jak wiele

czasu potrzebują najmniejsze wrzody, by się zabliźnić. Usunięcie części zropniałych, gojenie się rany, odnowienie tkanek zapomocą pracy komórek, wymaga miesięcy, lat nawet, najmniejsza bowiem nieroztropność powoduje nowe jątrzenie się rany. Wrzód pani Dehant należał do wrzodów nieuleczalnych, jego całkowite uleczenie przekracza siły lecznicze natury i całej ludzkiej wiedzy.

Tego samego rodzaju daleko posunięte ankiety zastosowano do wszystkich wielkich uzdrowień, z których przytoczę kilka przykładów, wybranych z epoki dosyć odległej. Próba czasu jest bowiem nieodzowną dla zapewnienia tym faktom ich niezaprzeczonej wartości.

De Rudder miał nogę prawą zmiażdżoną upadkiem drzewa w 1867 roku. Noga ta przedstawiała dwie rany na dwóch zmiażdżonych kościach, które próchniały w samem ognisku rany; rany nie zabliźniały się. Wytworzyła się choroba kości. Ranny kręcił swoją nogą, jak praczka wykręca bieliznę, piętę zwracał ku przodowi a palce w tył. Nagle 7 kwietnia 1875 roku rany zaczęły się zabliźniać, kości, których cząstki zdruzgotane widoczne były na dnie rany, zaczęły spajać się zapomocą twardej błony, wytworzyła się tkanka kostna pośrednicząca w spajaniu się kości, występująca na miejsce usuniętych cząstek.

W dwadzieścia trzy lat później de Rudder umiera. Nogę jego bada trzech lekarzy. Tkanka kostna jest doskonała, odnowiona substancja kostna jest zupełnie czysta, kość zraniona posiada tę samą długość co i zdrowa, pomimo odpadnięcia licznych cząstek i następującego wskutek tego skrócenia.

Zabliźnienie nagłe głębokich dawnych ran, wytworzenie się tkanki kostnej spajającej martwe kości, odnowienie się pośredniczącej tkanki kostnej i wszystko to w jednem mgnieniu oka. Oto są niezwykłe czynniki tego wspianiałego uzdrowienia, któremu nic nie brakuje, nawet autopsji.

Amelia Chagnon, licząca 17 lat, cierpiała od 1887 roku na gruźlicę kości w nodze. Kości były rozszerzone, przy zginaniu miały ruchy nienormalne i trzeszczały, wrzody i rany pokrywały całą nadwyrężoną nogę. Stan ten komplikowała jeszcze puchlina w kolanie. Panna Chagnon wyzdrowiała nagle 21 sierpnia 1891 roku, w cztery lata po rozpoczęciu się tej choroby. W 1911 roku, w dwadzieścia lat po swojem wyzdrowieniu została zakonnicą.

Marja Briffaut była chorą od 1888 roku na gruźlicę z wrzodami, fistułami, wielkiemi ranami, na dnie których przeglądała kość udowa. Wyzdrowiała ona nagle w 1893 roku i zaczęła odrazu chodzić; od pięciu zaś lat nie mogła nawet postawić nogi na ziemi.

Możnaby przytoczyć wielką ilość podobnych uzdrowień. Jest w czem wybierać. Nie potrzeba uciekać się do wypadków, które mogą posłużyć w dyskusji niewierzącym za protest do odwoływania się do chorób systemu nerwowego i chorób skomlikowanych organów wewnętrznych.

Rany, wrzody, trwające od lat, i potęgujące się stale w oczach wszystkich zostają nagle zabliźnione; fakt ten narzuca z całą swą siłą naszemu umysłowi.

Twarze straszliwie zniekształcone, dotknięte chorobą tak zwanego wilka

gruźlicowego, pożerającego twarz, nos, policzki, powieki, wydające odór odrażający, zmieniają się nagle w twarze pełne wdzięku.

Ślepi od urodzenia, których życie upłynęło w szpitalach, odzyskują nagle wzrok, po czterdziestu ośmiu latach, jak to miało miejsce z Karolem Augustem, i po siedmnastu latach, jak się to zdarzyło u Julji Benoist.

Głucho-niemi od urodzenia odzyskali nagle słuch: Aurelia Bruneau w 20 roku życia. Róża Evrard w siódmym roku i tylu jeszcze innych!

Chorzy na gruźlicę płuc w ostatniej fazie choroby, których plwociny roiły się od bakcyli Kocha, pielęgnowani napróżno w różnych specjalnych szpitalach, powracali na zawsze do zdrowia.

Wszystkie te cudowne i autentyczne fakta zostały całkowicie zniekształcone przez niektórych, jak naprzykład przez Zolę, który podaje fałszywe świadectwa i fałszywe twierdzenia w swej książce o Lourdes. Każe on umierać jednej suchotnicy Grivotte, będącej Marją Lebranchu, która dwadzieścia lat później miewa się doskonale i którą usiłuje wyprawić zagranicę, tak mu przeszkadza jej obecność w Paryżu, świadcząca o jego kłamstwie. Pozwala on zblednąć lekko wstrętnym ranom choroby wilka u Elizy Rouquet i Marji Lemarchand, których nagłe i cudowne uzdrowienie wywołuje u niego chwilowe wzruszenie, znikające jednakże zaraz z jego pysznego i sprzeciwiającego się prawdzie umysłu.

Uzdrowienia w Lourdes jak uzdrowienia opowiedziane w Ewangeljach, mają cechy nadprzyrodzone, dokonują się one bowiem wbrew wszystkim prawom natury i nauki. Siły, które niemi rządzą, działają poza czasem, ponieważ działają one z niepojętą wprost momentalnością. Choroba nieubłagana, której postęp złowrogi znany jest dobrze medycynie, znika odrazu i nie pozostawia najmniejszych śladów.

Tkanki odnawiają się nawet tam, gdzie mieści się gangrena i to w sposób zupełnie nagły i szybki, wbrew wszystkim prawom panującym w biologji. Rany zabliźniają się bezwłocznie, nawet kości zmiażdżone spajają się w przeciągu jednej krótkiej chwili, kawerny gruźlicze w płucach zamykają się, oczy stracone od dzieciństwa odzyskują wzrok, uszy głucho-niemych słyszą! A czas potwierdza te wszystkie nadzwyczajne uzdrowienia.

Niepodobna tłumaczyć podobnych cudów zapomocą sugestji. Sugestja może oddziaływać na zaburzenia organiczne, uspokajać ból, wzmagać apetyt, przywracać w pewnych warunkach możność ruchów; sugestja jednakże nie może uleczyć nadwyrężeń anatomicznych; nie niszczy ona mikrobów, nie usuwa gruźlicy; nie potrafi zabliźnić rany, ani naprawić złamania, nie zdoła także przywrócić oczom wzroku.

Sugestja, histerja — oto łatwe środki, zapomocą których usiłuje się zawsze zdyskredytować wszelką ideę nadprzyrodzoną w oczach tłumu! Jednakże jest rzeczą niezmiernie łatwą zbić sofizmy tych, którzy nadużywają tych zwodniczych wyrazów. Jeden przykład pozwoli zrozumieć nicość środków używanych przez wrogów wszelkiej nadprzyrodzoności.

Cud, którego świadkami było 20.000 osób, podczas 17-go widzenia Bernadetty Soubirous, stanowi rozstrzygającą odpowiedź dla oskarżycieli Świętej, którą niektórzy usiłowali przedstawić jako histeryczkę. Cały kwadrans, w chwili ekstazy widzącej, cała lewa jej ręka wraz z palcami paloną

była płomieniem świecy, którą trzymała. Najmniejszego zaś opalenia, nawet żadnego zaczerwienienia nie stwierdzono na tej ręce. Świadkowie, którzy dotychczas byli sceptykami, jak lekarz Dr. Dozous, urzędnik Estrade, przytaczają ten niezwykły fakt w swoich pamiętnikach. Lewa ręka Bernadetty, wyjąwszy ekstazę podczas tego 17-go widzenia, była zupełnie normalną pod względem wrażliwości. Znieczulone tkanki histeryczki, jak i tkanki umarłego, nie mogą nie reagować na gorąco płomienia przez przeciąg piętnastu minut. Zdarzenie to stwierdza stanowczo, że Bernadetta nie była lunatyczką, i musi przekonać niedowiarków, o ile ci nie chcą przeczyć umyślnie wszelkiej oczywistości.

Uczeni niewierzący, ateiści, ale ludzie szczerzy, stwierdzają w Lourdes istnienie siły nadzwyczajnej, opanywującej z niezmierzonej wysokości wszystkie siły natury. Nie chcą oni jednakże i nie mogą podnieść się ponad ciasny materjalizm, który nic nie wyjaśnia. Dochodzą do granic dziedziny nauki, zamiast wznieść się w okamgnieniu w nadprzyrodzoną dziedzinę wiary, która oświeca nasz umysł cudownem światłem, niosąc z sobą tyle pocieszających prawd.

Dla wielu dusz szczerych Lourdes stało się jednakże bramą otwierającą im niebo.

Dla nas, uczonych katolickich, Lourdes jest ziemią błogosławioną, gdzie ujawnia się wszechmoc Boga i dobroć macierzyńska Najświętszej Panny, Pocieszycielki strapionych i Uzdrowicielki chorych.

DZIEŃ AMBASADORA FRANCJI CLAUDELA. Każdego ranka, kilka minut przed godziną ósmą, człowiek o siwych wąsach wychodzi z ambasady francuskiej w Washingtonie. Zmierza on szybko do wielkiego, pobliskiego kościoła św. Pawła, gdzie przybywa na czas, by wysłuchać Mszy św. Pół godziny później wraca on do ambasady.

Niewiele z osób, które spotykają go na ulicy, poznaje w nim Pawła Claudela, ambasadora Francji w Stanach Zjednoczonych. Codzienna pielgrzymka do kościoła stanowi część programu dnia ambasadora, od chwili, gdy przedłożył swój list uwierzytelniający prezydentowi Coolidge w 1927 roku. Wypełnia on w Ameryce praktykę religijną, którą wypełniał od dawna gdzieindziej. Pierwszą część poranka poświęca Paweł Claudel zawsze Bogu. Każdego dnia, bez względu czy wcześniej lub później udał się na spoczynek poprzedniego wieczora, wstaje on o pół do siódmej. Zanim uda się na Mszę, poświęca godzinę na rozmyślanie. Powróciwszy po nabożeństwie do ambasady, czyta lub pisze w kwestjach religijnych, aż do swego pierwszego śniadania o godzinie 9-ej. Spłaciwszy tę daninę religji, rozpoczyna P. Claudel codzienną pracę dyplomaty.

. . Dodajmy, że niedawno P. Claudel został zaszczycony, ofiarowanym mu przez uniwersytet katolicki w Georgetown, medalem „James Ryler Randall Academy of Letters“, za swoją „wybitną działalność w dziedzinie literatury“. P: W. Colman Nevils, T. J. prezes uniwersytetu, przedstawiając Claudela licznie zebranej publiczności, zapełniającej amfiteatr, wśród której znajdowało się kilku posłów zagranicznych, wyraził się o Claudelu jako o człowieku będącym „zręcznym politykiem, wykształconym i znakomitym literatem, autorem światowej sławy, który jest istotnie godnym wszelkiego największego uznania dla swej działalności w dziedzinie literatury i dla swej wybitnej twórczości literackiej“.